

ożywają, a ludzie, przeciwnie, podlegają reifikacji (Ceremonie: „Szerokie drzwi wracają na zawiasy. Cztery / taborety – pod stół. // [...] Ostatni król idzie pod nóż. Krew wsiąka w ziemię. / Słodkie mięso pachnie sentymentem i sianem”). Rzeczywistość przypomina sprawny mechanizm, co tłumaczy częstą obecność maszyn i narzędzi w wierszach („dźwignia, siekiera, zwoje łożyska, drut, rozgrzane felgi”). Nieco sentymentalnie i idealistycznie pozwalam sobie traktować ową inwazję rzeczy jako ostrzeżenie dla rodzaju ludzkiego. W tym kontekście cielesność, czyli właściwa nam forma materii, staje się punktem oparcia dla człowieczeństwa, a ból, zamiast hańbić, oczyszcza (Ul: „Ćwiczenie się w tym bólu, w odwracaniu uwagi / i głowy. Żeby się nie wydało. A zresztą – niech się wyda”).

Interpretacje pozostają, jak zawsze, dowolne. Tym, co mamy na pewno, jest Collegium Anatomicum – dobrze przemyślany tomik, proponujący ciekawe literacko rozwiązania. Albo raczej, jak chce autor, „parciane arcydzieło” – anatomicznie szczegółowe, literacko imponujące. Do szczegółowego zbadania.

**Katarzyna Lisowska**

## Pies o imieniu Judasz

Marcin Wroński  
**Officium Secretum. Pies Pański**  
 Wydawnictwo W.A.B.  
 Warszawa 2010

Przybywa z odległego Watykanu do Polski, którą opuścił 20 lat temu. Jeszcze zanim zadomowił się w mieście, w którym spędził lata, które go naznaczyły, już został zatrudniony na KUL-u. Plan zajęć ma wcześniej niż dziekan. Rozczytany w mistykach islamu, w wolnych chwilach pisze, a zaraz potem kasuje w laptopie spowiedź swojego życia. Tchnie innym światem, studentki doceniają markowy zegarek, marynarkę. Po zajęciach staje w obronie dziewczyny: i cóż z tego, że napastników jest trzech, a on jeden, gdy zaraz wszyscy leżą pobici, leżą i kwiczą, skamłając o litość. Telefon jego przełożonych otwiera wszystkie drzwi, im się nie odmawia. Wreszcie: jest historykiem, jest zakonnikiem, jest Polakiem – czy można wybrać gorzej?

Dominikanin Marek Gliński nie jest Jamesem Bondem w habicie. To byłoby zbyt proste i, przynajmniej, zbyt banalne. Jest zatem tak, jak w thrillerze powinno być: nieoczywiście do samego końca. I tak Gliński nie jest pojedynczy, ich jest dwóch. Gliński „zewnątrzny” to dominikanin, Gliński „wewnętrzny” ma pseudonim „Kleryk”. Każdy z nich ma swoje drugie dno, tajemnicę, która stwarza go niejako na nowo. Jako domini-

kanin jest przede wszystkim wystannikiem tajemniczej organizacji kościelnej Officium Secretum. Jako „Kleryk” był głęboko zakamuflowanym współpracownikiem SB w czasach PRL-u. Ilu jest zatem Glińskich? Przynajmniej czterech. Trudno to zmieścić w jednej osobie, nie dziwi więc, że Gliński ma za sobą załamanie nerwowe i długą terapię. Nie gubi się w tym jednak Marcin Wroński. Mocno i pewnie pociąga za wszystkie sznurki, zaskakuje czytelnika, bawi się dialogami, a w snuciu swej opowieści jest nienachlany, pozwalając na samodzielne wyciągnięcie wniosków. Officium Secretum to chronologicznie trzecia powieść, wcześniej powstały dwie części przygód komisarza Maciejewskiego – wszystkie osadzone w Lublinie. O ile Morderstwo pod cenzurą oraz Kino Wenus były typowymi kryminałami retro, o tyle Officium... jest powieścią ambitniejszą, bardziej zadziorną, a przez to wkładającą fabułę w polskie rany. Piecze, zdumiewając piecze.

Zasadnicza konstrukcja thrillera z Kościołem w tle jest prosta i sprawdzona od lat: tajemnicza organizacja, jaką jest Kościół, z pewnością posiada w swoich strukturach jeszcze bardziej tajemnicze organizacje, które nie zajmują się walką o prawa człowieka, pomocą humanitarną, ani nawet reewangelizacją Polaków. Jeśli jest Kościół, to musi być tajemniczy przedmiot: kielich, obraz, dokument, choćby nawet ampułka z krwią. Takie są prawa gatunku i tego nie zmienisz. Przymyślam więc oczy, porzucając myśl, że w takiej literaturze wystarczy zmienić „Kościół” na „masonów” i generalnie wszystko zawsze do siebie pasuje. Wroński nie kopiuje jednak dokonań Roberta Ludluma ani Dana Browna, ale dokłada sporo od siebie. Oficjalnie Gliński przybywa jako reprezentant Komisji Duch i Prawda do badania ruchów heretyckich w Polsce, nieoficjalnie zaś jest wystannikiem działającego wewnątrz Kościoła tajemniczego Officium Secretum, którego zadaniem jest usuwanie problemów Kościoła. Na

„zewnątrz” dominikanin ma się przedostać do klasztoru zbuntowanych betanek, co stanowi tylko przykrywkę działań „wewnątrz”: odnalezienia zapisków XIX-wiecznego franciszkanina Adriana Gałuszkiewicza i rozszyfrowania zawartej w nich tajemnicy. Przyznaję, że gdy w trakcie lektury poznałem oba zamiary bohatera, uśmiechnąłem się krzywo. Wyłożysz się, pomyślałem, a może nawet powiedziałem półgłosem, jakby Wroński mógł mnie usłyszeć. Opisać tajemniczą organizację kościelną to raz, ale targnąć się na opis zgromadzenia siostr z Kazimierza Dolnego, nadto „sprzedać” czytelnikowi elektryzujący sekret Kościoła w Polsce, to dwa. Nader szybko mój uśmiech przybrał wygląd normalny i teraz mówię już pełnym głosem, niech mnie słyszą: Wroński to porządna firma.

Nie odbierając przyszłym czytelnikom przyjemności bycia zaskoczonym, wspomnę jedynie o powodach mojego spokojnego i zadowolonego uśmiechu. Betanki z Kazimierza Dolnego to nie tylko anonimowa grupa siostr zakonnych, ale również konkretne postacie, takie jak matka Lidia Jarocka oraz franciszkanin Kazimierz Romanyczko. Jak wiarygodnie przedstawić grupę i osoby, relacje między nimi, nadto jakiego języka użyć, aby brzmiał naturalnie? Mówimy wszak o odwzorowaniu strachu i uniesień religijnych, a w tym wszystkim muszą tętnić dialogi. Wroński opisuje betanki w sposób ściśle kontrolowany, język jest powściągliwy, nie razi fanatyzmem i nie trąci myszką. To bardzo wyważony opis, pełen kontroli słów, a przez to pozwalający w sposób nienachalny poruszyć wyobraźnię czytelnika. W całości wątku z siostrami betankami widoczny jest sznyt rzetelnej dziennikarskiej roboty. To mocne fragmenty tej prozy, nie bawiące się nadmiernie w domysły, ale jednocześnie napisane wielowątkowo (oprócz Jarockiej i Romanyczki warto zwrócić uwagę na postać siostry Katarzyny), przez co dają niejednostronny +

obraz. Druga rzecz to owa sekretna intryga. Jakiego sekretu może szukać (i bronić jednocześnie) zakonnik w Kościele w Polsce? Na to pytanie niełatwo odpowiedzieć. Jak bowiem napisać coś wiarygodnego o „ciemnych stronach” Kościoła, gdy, mam wrażenie, przyzwyczajeni jesteśmy do dokumentów SB przedstawiających go w krzywym zwierciadle, nadto ukazują się czasopisma, które linię tej krytyki przedłużają? Na wątpliwości teologiczne też raczej w powieści kryminalnej nie ma w Polsce miejsca, jako że nigdy nie powstała u nas żadna rodzima herezja. Apostołowie ani Maria Magdalena również nie dotarli na nasze ziemie, zatem ani na tajemnicze potomstwo, ani na kłopotliwe relikwie nie ma co liczyć. Od razu zastrzeżmy, że ewentualne wykorzystanie w powieści Jana Pawła II będzie raczej źle odebrane. I jak z tego wyjść? Co może poruszyć stereotypowego Polaka katolika, którego historia i tożsamość związane są mocno z religią (Bóg, honor, ojczyzna są wciąż żywe, choć z pewnością przekładane współcześnie na inny język)? Dość powiedzieć, że ów sekret pomyślany jest zgrabnie, a dotyczy dokumentu. Ostatecznie z pomocą przychodzi nawiązanie nie tyle do Ludluma i Browna, ile do sprawdzonego Umberto Eco. I tu tajemniczy tekst Arystotelesa zaczyna płonąć, a pożar ogarnia fundament domu oraz rozpała umysły.

Skoro nie można zdradzić poszukiwanego sekretu, a warto dotrzymać tej tajemnicy dla czytelnika, zwróćmy jeszcze uwagę na polski dramat Glińskiego. Jedną z najważniejszych rzeczy w powieści detektywistycznej, obok zagadki, jest tło społeczne. Zbrodnia dzieje się w jasno sportretowanej rzeczywistości; krytycy literaccy oraz antropolodzy zaczynają mówić coraz odważniej, że literatura kryminalna w sposób najbardziej wiarygodny reaguje na zmieniające się społeczeństwo. Zło pozostaje złem, jednak motywy, język, a przede wszystkim sposób dokonania zbrodni i reakcja na nią mówią o nas samych.

Marcin Wroński portretuje Polskę na początku XXI wieku, która rozlicza się ze swej trudnej, niedalekiej, przeszłości. Gliński w latach 80. ubiegłego wieku był współpracownikiem SB, donosił na kolegów z solidarnościowego podziemia, denuncjował bliskich mu ludzi. Otrzymał pseudonim „Kleryk”, co wiązało się zarówno z jego ascetyczną postawą, jak i z nieskrywaną chęcią wstąpienia do zakonu. Przywdziawszy ostatecznie habit, zostaje wysłany do Rzymu. Poczucie winy nie opuszcza go, skierowanie zaś po latach nieobecności do ojczyzny stawia szereg pytań: czy można spojrzeć ofiarom w twarz? Czy można otrzymać od nich przebaczenie? Czy można definitywnie rozliczyć się – nie tylko przed Bogiem, ale zwłaszcza przed ludźmi – ze zdrady?

Polska, którą zastaje Gliński, to podział na tę solidarnościową, najczęściej zamkniętą w swoim bólu i nie odnajdującą się w nowej rzeczywistości, oraz tę młodą, prężną, której nieodległa historia zdaje się nie dotyczyć. Gliński znajduje się dokładnie pomiędzy Polską A a Polską B. Ta „młoda Polska” krzyczy ustami bohaterki: „Ja w ogóle nie pamiętam tych wszystkich czotgów, zoma, kopalni «Wujek», strajku FSC i w ogóle! Co mnie to obchodzi? [...] Mnie naprawdę jest wszystko jedno, kto z was był dobry, kto zły i kto miał rację, bo teraz to już nic nie znaczy. Lepiej, żeby przestało znaczyć...”. Tylko że żadna go nie przyjmie. Dla Polski posolidarnościowej jest zwykłym zdrajcą, dla Polski współczesnej pogrążonym w przeszłości moralnym skrupulantem. Kościół dla takich jak on nie jest żadnym wybawieniem. Ponieważ pracuje w *Officium Secretum*, jest traktowany z podejrzliwością i niechęcią. Przez złośliwych tytułowany prowokacyjnie „ojcem Judaszem”, dokonując rachunku sumienia, definiuje siebie cierpko: „A ja nie kapłan, tylko pies? Domini canis, pies Pański. Esbek, inkwizytor... Więc jednak pies, myślał”. Jeszcze ostrzej powie to były esbek, który zna-

lażł posadę w tej „nowej” Polsce: „jesteś wciąż taki sam esbek, tylko zmieniłeś firmę”.

„Co powiedzieliby na to pierwsi śledczy Europy, Domini Cannes, psy Pańskie wprawione w pokrętną analizę zeznań heretyków? Rozszerzenie kręgu podejrzanych i łączenie różnych spraw w jeden logiczny węzeł było przecież ich specjalnością!”. Zacytowana kwestia należy oczywiście do Marcina Wrońskiego, ale nie wypowiada jej ani Polska posolidarnościowa, ani Polska współczesna, lecz komisarz Maciejewski z odległych lat 30. minionego wieku (Morderstwo pod cenzurą). I na tym polega też siła *Officium...*, że Wroński stawia przekorne pytanie: czy w sposobie traktowania jednostki oraz w sposobie dysponowania prawdą można postawić znak równości między Kościołem w Polsce a Służbą Bezpieczeństwa? Że niesmaczne to zrównanie, że grubymi nićmi szyte? Jasne, że trąci stereotypem, a jednak warto posłuchać, co Marek Gliński ma nam do opowiedzenia...

**Marcin Cielecki**

## Labirynt opowieści

Elif Şafak

**Lustra miasta**

przełożyła Anna Akbikie Sulimowicz  
Wydawnictwo Literackie  
Kraków 2011

Na tyle ile kocham opowiadania,  
ostatnio zaczęłam myśleć nad tym, że tracą  
one swój czar,  
jeśli i kiedy opowiadanie uważa się za coś  
więcej

Elif Şafak

I  
Lustra miasta to opowieść o strachu. Ewentualnie o macierzyństwie, Stambule, natchnieniu religijnym, samotności, grzechu, miłości, sytuacji Żydów w czasach hiszpańskiej inkwizycji, życiu rodzinnym, sufizmie, podróży, smutku, śmierci i o samej opowieści.

II  
Pisząc o twórczości Elif Şafak, nie sposób nie wspomnieć o migracji, sytuacji politycznej Turcji i filozofii sufizmu. Trzeba koniecznie przypomnieć proces, jaki wytoczono pisarce po publikacji *Bękart* ze Stambułu. Warto użyć słów: wielokulturowość, tożsamość, orientalizm, postmodernizm i feminizm. Pewnie powinno pojawić się nazwisko Orhana Pamuka.

Wspomniałam, przypomniałam, użyłam. Przechodzę do meritum.

+